

# Nadzwyczajna rakietka

Oskar Wilde



calibre 0.9.27

# NADZWYCZAJNA RAKIETA

Oskar Wilde

Królewicz miał się żenić, i w całym kraju panowała z tego powodu wielka radość. Cały rok czekał na swą narzeczoną, która nareszcie przybyła. Była to szwedzka księżniczka, która daleką drogę odbyła w saniach, ciągnionych przez sześć reniferów. Sanie te miały kształt ogromnego złotego łabędzia, a pomiędzy skrzydłami łabędzia spoczywała mała księżniczka. Długi płaszcz podbity gronostajami spływał aż do jej stóp, głowę osłaniała czapeczka z delikatnej srebrnej tkaniny, a spod czapeczki wyglądała twarzyczka tak blada jak Śnieżny Pałac, w którym dotychczas żyła. Była tak blada, że gdy przejeżdżała ulicami, ludzie spoglądali na nią zdumieni. — Wygląda jak biała róża! — wołali rzucając jej kwiaty pod stopy.

U bram pałacu czekał na nią książę. Miał marzycielskie fiołkowe oczy, a włosy jak roztopione złoto. Na widok księżniczki przyklęknął i ucałował jej rękę.

— Portret twój był cudny, ale ty piękniejsza jesteś od portretu — szepnął — a mała księżniczka się zapłoniła.

— Była przedtem jak biała róża, a teraz wygląda jak pąsowa róża — zauważył paż do swego towarzysza, a cały dwór zachwycony był tą uwagą.

W ciągu następnych trzech dni na ustach wszystkich krążyło: biała róża, pąsowa róża, biała róża, pąsowa róża, a król wydał rozkaz, by podwojono pensję pazia.

Wprawdzie nie pobierając żadnej pensji, nie miał też wielkiej korzyści z jej podwojenia, jednakowoż wielki to był zaszczyt, zwłaszcza że polecenie królewskie ogłoszono w gazecie dworskiej.

Po trzech dniach odbył się ślub młodej pary. Była to chwila bardzo uroczysta, gdy oboje, trzymając się za ręce, stanęli pod baldachimem z purpury, haftowanym perełkami. Następnie urządzono ucztę dworską, która trwała pięć godzin. Książę i księżniczka zasiedli na honorowych miejscach w olbrzymiej, odświętnie udekorowanej komnacie, i razem pili z kryształowego kielicha. Tylko prawdziwi kochankowie mogli pić z tego kielicha, bo ilekroć dotknęły go usta fałszywe, kryształ zaciemniał się, tracił blask i przezroczyłość.

— Rzecz jasna, że się kochają! Jasna jak kryształ! — wykrzyknął młody paż, a król po raz drugi podwoił jego pensję.

— Co za zaszczyt! — szeptali wszyscy dworzanie. Po uczcie odbył się bal. Młoda para miała odtńczyć

taniec róż, a król przyrzekł zagrać na flecie. Grał wprawdzie bardzo źle, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć, ponieważ był królem. Istotnie, znał on tylko dwie arie i nigdy nie wiedział, którą z nich gra właściwie, bo cokolwiek grał, wszyscy jednogłośnie się zachwycali: czarujące! czarujące!

Ostatnim punktem programu miały być wspaniałe ognie sztuczne; pokaz ten zamierzano rozpocząć punktualnie o północy. Księżniczka nigdy jeszcze nie widziała ogni sztucznych, dlatego król wydał rozkaz, by pirotechnik nadworny poczynił odpowiednie przygotowania na dzień ślubu.

— Jak wyglądają ognie sztuczne? — pytała księżniczka swego narzeczonego, przechadzając się z nim rano po tarasie.

— Jak zorza północna króla objaśnił król, który zawsze miał zwyczaj odpowiadać na pytania, zadawane innym. — Tylko że wyglądają znacznie naturalniej — dodał. — Ja je nawet wolę od gwiazd, ponieważ zawsze wiem, kiedy się ukażą, a są tak cudne jak moja gra na flecie. Musisz je zobaczyć.

I istotnie na końcu ogrodu królewskiego urządzono duże podium, a gdy nadworny pirotechnik wszystko ustawił i przygotował, ognie sztuczne wszczęły między sobą rozmowę:

— Świat jest zaiste bardzo piękny! — wykrzyknęła mała Rakietka. — Spójrzcie tylko na te żółte tulipany! Gdyby były prawdziwymi fajerwerkami, nie mogłyby cudniej wyglądać! Bardzo jestem zadowolona, że odbyłam tę podróż. To ogromnie kształci umysł i wyzwala z rozmaitych przesądów.

— Ogród królewski nie jest jeszcze całym światem, głupia raco — ozwała się ogromna Rzymska Świeca. — Świat — to ogromny plac, i potrzebowałabyś całych trzech dni do oglądania go w całości.

— Każdy zakątek, który kochasz, jest dla ciebie światem — wyrzekło melancholijnie Koło Katarzyny, które w młodości swej przywiązane było do skrzynki z drzewa sosnowego i dotąd szczyciło się swym złamanym sercem. — Tylko niestety miłość wyszła już z mody, odkąd ją uśmiercili poeci. Tyle o niej pisali, że nikt im nie dawał wiary, co doskonale rozumiem. Miłość prawdziwa cierpi i milczy. Pamiętam, jak kiedyś ja... Ale nie o tym teraz mowa. Miłość należy do

przeszłości.

— Głupstwo! — krzyknęła Rzymska Świeca — miłość nie ginie nigdy. Jest jak księżyc, co żyje wiecznie. Pan młody i panna młoda na przykład kochają się tak serdecznie. Dowiedziałam się o tym od świstka bibuły, który przypadkowo leżał w jednej szufladzie ze mną i znał wszystkie najnowsze wiadomości dworskie. Koło Katarzyny potrząsnęło głową.

— Miłość umarła, miłość umarła, miłość umarła — mamrotało.

Należało do rzędu tych, co sądzą, że powtarzając często tę samą rzecz, czynią ją tym samym prawdziwą.

Nagle ozwał się tuż za nimi ostry, suchy kaszel, wszyscy się odwrócili.

Kaszel pochodził od ogromnej, zuchwale spoglądającej Rakiety, przywiązanej do długiego kija. Przed każdorazowym ozwaniem się zwykła była kaszleć, dla zwrócenia na siebie uwagi.

— Hm! hm! — odchrząknęła, a wszyscy nastawili uszu z wyjątkiem biednego Koła Katarzyny, które ciągle jeszcze potrząsało głową mrucząc: miłość umarła...

— Przywołuję do porządku! — krzyknął nagle Wąż Ognisty, który interesował się polityką i odgrywając zazwyczaj czynną rolę przy wyborach miejscowych przyswoił sobie kilka parlamentarnych wyrażeń.

— Umarła — szeptało Koło Katarzyny zasypiając. Gdy wszystko umilkło, Rakietka zakaszlała po raz trzeci i poczęła mówić. Mówiła bardzo powoli, akcentując każde słowo, jak gdyby dyktowała komuś swe pamiętniki, i zawsze patrząc przez ramię osoby, z którą mówiła. Miała rzeczywiście maniery bardzo wytworne.

— Cóż to za szczęście dla królewicza, że ma wziąć ślub tego samego dnia, kiedy ja się ukazę. Doprawdy, gdyby ktoś naumyślnie był tym pokierował, nie mógłby tego lepiej dla królewicza urządzić — zauważyła. — Ale wiadomo, że książęta zawsze mają szczęście.

— Dalibóg! — ozwała się mała Raca — a ja sądziłam, że to właśnie dla uczczenia księcia nas tu przewieziono.

— Być może, że masz słusność co do siebie — odparła Rakietka — nie wątpię nawet, że tak jest istotnie, że mną jednak zupełnie inna sprawa. Ja jestem niezwykłą rakieta i pochodzę od niezwykłych rodziców. Matką moją było owo świetne Koło Katarzyny, sławne ze swego zręcznego lotu. Kiedy ukazało się publicznie, zatoczyło dziewiętnaście kręgów, zanim zgasło, a za każdym kręgiem wyrzuciło w powietrze siedem płomiennych gwiazd. Miało ono średnicę na trzy i pół stopy i zrobione było z najlepszego prochu. Ojciec był rakieta, tak samo jak ja, pochodzenia francuskiego. Wyleciał w powietrze tak wysoko, że ludzie obawiali się, czy w ogóle powróci. Powrócił jednak, będąc usposobienia spokojnego, a temu jego zlotowi na ziemię towarzyszył błyszczący deszcz złocisty. Dzienniki wyrażały się o jego występie najpochlebniej. Istotnie, gazeta dworska nazwała go wprost arcydziełem pilotechniki.

— Pirotechniki chciałaś zapewne powiedzieć! — zawołał Ogień Bengalski. — Wiem, że się mówi pirotechnika, bo przeczytałem na własnym pudełku.

— Otóż ja chcę mówić pilotechnika — odparła Rakietka tonem tak stanowczym, że Ogień Bengalski uczył się całkiem zgnębiony i natychmiast począł dokuczać małym racom, chcąc okazać, że jest mimo wszystko znakomitą osobistością.

— Mówiłam — zaczęła znów Rakietka — mówiłam.. Co ja to mówiłam?

— Mówiłaś o sobie samej — przypomniała Rzymska Świeca.

— Naturalnie! Pamiętam, że mówiłam o czymś bardzo zajmującym, gdy mi tak brutalnie przerwano. Nienawidzę brutalności i złych manier, gdyż jestem nadzwyczajnie wrażliwa. Nie ma w świecie osoby równie wrażliwej — jestem tego pewna.

— Co to znaczy osoba wrażliwa? — zagadnął Ogień Bengalski.

— Osoba wrażliwa jest to taka osoba, która każdemu nadeptuje na palce, ponieważ sama ma nagniotki — szepnęła Rzymska Świeca, a Ogień Bengalski omal nie pękł ze śmiechu, usłyszawszy takie objaśnienie.

— Z czego się tak śmiejesz? — spytała Rakietka. — Ja nie śmieję się nigdy.

— Śmieję się, bo jestem szczęśliwy — odparł Ogień.

— To dopiero egoista! — mruknęła oburzona Rakietka. — Jakie masz prawo do szczęścia? Powinieneś myśleć o drugich. Istotnie, powinien byś myśleć o mnie. Ja zawsze myślę o sobie i sądzę,

że wszyscy na świecie powinni myśleć o mnie. To się nazywa sympatia. Jest ona piękną cnotą, a ja ją posiadam w wysokim stopniu. Pomyśl na przykład, gdyby mnie tej nocy spotkała jakaś przygoda, czyżby to nie było nieszczęściem dla całego świata? Księżę i księżniczka nigdy by już nie byli szczęśliwi w małżeństwie, a co do króla, to pewna jestem, że by tego nie przeżył. Doprawdy, że myśląc o ważności swego stanowiska czuję się wzruszona do łez.

— Jeśli masz sprawiać radość innym — zauważyła Rzymska Świeca — to powinna być raczej unikać wilgoci.

— Bez wątpienia! — zawołał Ogień Bengalski, który znów odzyskał pierwotny humor — to przecież nakazuje zwykły rozsądek.

— Zwykły rozsądek! — pogardliwie rzekła Rakietka — zapominasz tylko, że ja jestem pod każdym względem niezwykła i nadzwyczajna. Każdy może się zdobyć na zwykły rozsądek, do którego nie potrzeba wcale fantazji. Ja natomiast mam fantazję, gdyż nigdy nie wyobrażam sobie rzeczy takimi, jakimi są istotnie, lecz zawsze wręcz przeciwnie. A co do rady, bym unikała wilgoci, to widocznie nie ma tu nikogo, co by był zdolny do zrozumienia natury uczuciowej. Na szczęście jednak nic sobie z tego nie robię. Jedyne, co jeszcze człowieka podtrzymuje w życiu, to poczucie ogromnej niższości innych, a uczucie to żywiłam zawsze. Ale nikt z was nie ma serca. Śmiejecie się i radujecie, jak gdybyście nie wiedzieli, że właśnie teraz księżę bierze ślub z księżniczką.

— Więc cóż? — zawołała mała Płomienna Kulka. — Wszak to właśnie bardzo stosowna chwila do weselenia się, a gdy wylecę w powietrze, opowiem gwiazdom tę wieść radosną. Zobaczycie, jak będą mrugać, słuchając mego opowiadania o pięknej narzeczonej.

— Ach, cóż to za trywialny pogład na życie! — oburzyła się Rakietka — ale nie spodziewałam się innego. Płytką jesteś i głupia. Czyż nie przyszło ci na myśl, że księżę i księżniczka mogą zamieszkać w pięknym zamku nad głęboką rzeką i mogą mieć jedynego synka, jasnowłosego, o oczach fiołkowych jak oczy księcia; pewnego dnia chłopczyk może wyjść z piastunką na przechadzkę, i piastunka może zasnąć pod rozłożystym wiązem, a chłopczyk wpadnie do głębokiej rzeki i utonie. Co za straszne nieszczęście! Biedni rodzice! Stracić swego jedynaka! To przecież okropne! Nigdy się chyba nie uspokoją!

— Ale wszak nie stracili swego jedynaka! — krzyknęła Rzymska Świeca — i żadne im się jeszcze nie zdarzyło nieszczęście.

— Nigdy nie twierdziłam, że im się zdarzyło — odparła Rakietka. — Mówiłam tylko, że mogłoby się im zdarzyć. Gdyby byli utracili swego jedynaka, nie warto by już o tym więcej mówić. Nienawidzę ludzi, biadających nad stłuczonym garnkiem. Ale na myśl, że mogliby utracić swego jedynaka, czuję się istotnie niezmiernie wzruszoną.

— I jesteś niewątpliwie wzruszona! — krzyknął Ogień Bengalski. — Doprawdy, że w życiu nie spotkałem istoty równie czulej.

— Jesteś największym brutalem, jakiego kiedykolwiek spotkałam — rzekła Rakieta — i nie możesz oczywiście rozumieć mej przyjaźni dla księcia.

— Jak to! Wszak go nawet nie znasz! — mruknęła Rzymska Świeca.

— Nigdy nie twierdziłam, że go znam — odparła Rakieta. — Przeciwnie, śmiem nawet twierdzić, że gdybym go znała, nie mogłabym już być jego przyjaciółką. Bardzo to niebezpiecznie znać swych przyjaciół.

— Lepiej zrobiłabyś unikając wilgoci — przestrzegała Płomienna Kulka. — To teraz najważniejsze.

— Najważniejsze dla ciebie, bez wątpienia — pogardliwie odparła Rakieta — ja jednak mogę płakać, jeśli mam do tego ochotę! — I rzeczywiście zalała się strumieniem łez, które spłynęły wzdłuż jej drążka, zatapiając dwa chrząszczyki, siedzące obok siebie, i rozglądające się właśnie za suchym kątkiem, gdzie by mogły założyć sobie siedzibę.

— Jakaś prawdziwie romantyczna natura — rzekło Koło Katarzyny — zawsze wylewa łzy tam, gdzie nie ma do tego powodu. — I westchnąwszy głęboko, pogrążyło się we wspomnieniach o skrzynce sosnowej.

Natomiast Rzymska Świeca i Ogień Bengalski nie mogły już dłużej hamować swego oburzenia i raz po raz powtarzały: humbug! humbug! Były nadzwyczajnie praktyczne, i ilekroć się czemuś sprzeciwiały, mówiły, że to humbug.

Niebawem ukazał się księżyc, niby cudna srebrzysta tarcza, i gwiazdy zaczęły migotać, a w pałacu zabrzmiała muzyka.

Księżę z księżniczką tańczyli w pierwszej parze.

Tańczyli tak ślicznie, że białe lilie zaglądały przez okno, pełne zachwyty, a duże czerwone maki pochylały się w takt melodii tanecznej.

Wybiła godzina dziesiąta, później jedenasta, wreszcie dwunasta, a za ostatnim uderzeniem zegara, obwieszającego północ, wszyscy goście weselni wyszli na taras, a król posłał po nadwornego

pirotechnika.

— Zapalić ognie bengalskie! — rzekł król, a pirotechnik nadworny głęboko pochylił głowę i ruszył, w głąb ogrodu. Miał na swe rozkazy sześciu, pomocników, a każdy z nich niósł na drążku zapaloną pochodnię.

Był to istotnie widok olśniewający.

„Bzz! bzz!” uleciało Koło Katarzyny zataczając niezliczone kręgi świetlne. „Bum! bum!” strzeliła w górę Rzymska Świeca. I niezliczone mnóstwo małych rakiet zawirowało w powietrzu, a ognie bengalskie szkarłatem oblały całe otoczenie. „Do widzenia!” — krzyknęła Płomienna Kulka, wzlatując wysoko i pryskając dokoła błękitnymi iskrami. „Przyjemnej podróży!” — odpowiedziały małe race, niezmiernie rozbawione. Jednym słowem wszyscy osiągnęli wielkie powodzenie, z wyjątkiem Nadzwyczajnej Rakiety. Taka była wilgotna od płaczu, że nie mogła wystrzelić. Najlepszym jej przymiotem był proch, lecz, mokry od łez, stracił całą swą wartość. Wszystkie jej biedne krewne, z którymi nie chciała wcale mówić, wystrzeliły w powietrze niby cudne złote kwiaty o płomiennych sercach. „Brawo! brawo!” — zachwycał się cały dwór królewski, a księżniczka w głos się śmiała, oczarowana cudnym widokiem.

— Zapewne mnie rezerwują na jakąś uroczystą chwilę — rzekła do siebie Rakietka, jeszcze dumniejszym wozząc dokoła spojrzeniem. Nazajutrz przyszli robotnicy, by uprzątnąć plac.

„Zapewne deputacja — pomyślała Rakietka. — Przyjmę ich z odpowiednią godnością!” Zadarła więc nos do góry i zmarszczyła brwi, jak gdyby rozmyślała nad bardzo ważnym zagadnieniem. Ale robotnicy wcale na nią nie zwracali uwagi. Dopiero na odchodnym, dostrzegłszy ją, zawołali: jakaś kiepska rakietka! I wyrzucili ją przez mur do rowu.

— Kiepska rakietka! Kiepska rakietka! — powtarzała wirując ponad rowem. — Nie podobna! Chcieli zapewne powiedzieć: świetna rakietka! Świetna i kiepska, to brzmi dość podobnie i często ma to samo znaczenie. — Z tymi słowy wpadła do kałuży.

— Niezbyt tu wygodnie — zauważyła — ale bez wątpienia musi to być jedna z modnych miejscowości kąpielowych, dokąd mnie wysłano dla odzyskania zdrowia. Moje nerwy są istotnie bardzo rozstrojone i potrzebują spokoju.

W tejże chwili mała żabka o dużych, błyszczących oczach i w zielonym, nakrapianym płaszczu podpłynęła ku zadumanej Rakiecie.



— Nowy gość, jak widzę! — rzekła żabka. — Niechaj mówią, co chcą, a jednak nic lepszego nad kałużę! Dajcie mi kałużę i deszcz, a nic mi nie braknie do szczęścia. Czy nie sądzisz, że powinien by deszcz spaść po południu? Spodziewam się i pragnę tego, ale niebo jest na nieszczęście całkiem błękitne i czyste. Jaka szkoda!

— Hm! hm! — odkaszlnęła Rakieta przygotowując się do przemowy.

— Jakież masz cudny głos! — wykrzyknęła żaba. — Zupełnie podobny do rechotania, a wiadomo przecież, że rechotanie jest najcudniejszą muzyką na świecie. Usłyszysz wieczorem chór naszego klubu. Siedzimy w starym stawie kaczym koło domku gospodarza i z ukazaniem się księżycy rozpoczynamy koncert. Jest tak porywający, że wszyscy się budzą ze snu i słuchają. Wczoraj dopiero słyszałam, jak gospodyni mówiła do swej matki, że przez całą noc nie zmrużyła oka dzięki naszej muzyce. Jednak to wielka satysfakcja być tak popularnym.

— Hm! hm! — odkaszlnęła Rakieta, mocno wzburzona. Irytowało ją, że nie mogła wtrącić choćby jednego słowa.

— Cudny głos, istotnie! — znów poczęła mówić żaba. — Spodziewam się, że przyjdiesz wieczorem nad staw kaczy. Ja już muszę odejść do córek. Mam sześć prześlicznych córek i tak się zawsze trwożę, by ich nie napadł szczupak. Potwór to okropny i wcale by się nie wahał połknąć je na śniadanie. Do widzenia zatem: bardzo mi było przyjemnie z tobą porozmawiać.

— Piękna rozmowa! — burknęła Rakieta. — Wszak przez cały czas ty tylko mówiłaś. Tego nie nazywani rozmową.

— Trudno! Zawsze ktoś musi słuchać, a ja już wolę mówić. Zaoszczędza to dużo czasu i argumentów — odparła żaba.

— Ja jednak lubię dysputę — zauważyła Rakieta.

— Doprawdy? — ze zdumieniem podjęła żaba. — Dysputy są zawsze ordynarne, bo wszak w dobrym towarzystwie wszyscy podzielają te same opinie. Żegnaj więc raz jeszcze, bo oto widzę opodal moje córki.

Z tymi słowy żaba odpłynęła.

— Nieznośna jesteś — rzekła Rakieta — i bardzo źle wychowana w dodatku. Nie znoszę osób, wciąż mówiących o sobie, jak ty na przykład, gdy ja właśnie chciałabym mówić o sobie. Uważam to

za egoizm, a egoizm jest wadą najobrzydliwszą, zwłaszcza dla ludzi mego usposobienia, bo wiesz zapewne, że znana jestem z nadzwyczajnej życzliwości. Mogłabyś sobie istotnie wziąć przykład ze mnie, bo bardzo wątpię, czy znajdziesz gdziekolwiek wzór tak godny naśladowania. A skoro ci się nadarza tak szczęśliwa sposobność, powinnaś z niej skorzystać jak najrychlej, gdyż niezadługo wracam na dwór królewski. Jestem ulubienicą dworu, a wczoraj książę i księżniczka połączyli się węzłem małżeńskim, dla uczczenia mej obecności. Ty oczywiście nie znasz tych stosunków, będących tajemnicą dla prowincjonalnych gąsek.

— Szkoda twych słów — ozwała się ważka, siedząca na najwyższym szczycie nadbrzeżnej trzciny — szkoda twych słów, bo żaba dawno już odpłynęła.

— Ona na tym traci, nie ja — wyniośle odparła Rakietka. — Wcale nie mam ochoty przestać mówić tylko dlatego, że nikt mnie nie słucha. Lubię przysłuchiwać się sobie samej. To jedna z największych mych przyjemności. Nieraz prowadzę z sobą długie rozmowy i bywam często tak wymowna, że nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co mówię.

— W takim razie powinna byś właściwie wyklądać filozofię — rzekła ważka. I, rozpostarwszy cudne skrzydełka z przejrzystej gazy, wzbiła się ku niebu.

— Jakże to głupio z jej strony, że nie zatrzymała się dłużej! — rzekła Rakietka. — Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu nadarzy się jej równie szczęśliwa sposobność pogłębienia umysłu. Zresztą, cóż mnie to obchodzi. Taki geniusz, jak ja, musi pewnego dnia doczekać się należytej oceny — zakończyła, coraz głębiej zapadając w kałużę.

Po pewnym czasie przypląnęła do niej duża biała kaczka. Miała żółte nogi i błonką spojone palce, a uchodziła za wielką piękność z powodu kołyszącego się chodu.

— Kwa! kwa! kwa! — zawołała na przywitanie. — Jakąż ty masz dziwną postać! Czy wolno, pytać, zali się taką urodziłaś lub może jest to skutek wypadku?

— Widać, że całe życie spędziłaś na prowincji — odparła Rakietka — w przeciwnym razie, wiedziałabyś, kim jestem. Wybaczam ci jednak twą ignorancją. Trudno wymagać od drugich, by byli tak znakomici, jak ja. Zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że umiem ulatywać w niebiosy, skąd wracam wśród ulewy złotego deszczu.

— Nie mogę się nad tym zbyt zastanawiać — odparła kaczka — gdyż nie widzę w tym wszystkim żadnego pożytku. Co innego, gdybyś umiała orać jak wół lub ciągnąć wóz jak koń albo strzec trzody jak pies pasterski.

— Moja pocziwino — rzekła Rakietą tonem pobłażliwie wyniosłym — widzę już, że należysz do niższej sfery. Osoba z mojej klasy nigdy nie jest użyteczna. My posiadamy pewne talenty, i to wystarcza w zupełności. Co do mnie, to nie mam skłonności do żadnej roboty, a już najmniej do tych, które ty zdajesz się zalecać. Istotnie, zawsze byłam zdania, że ciężka praca jest stworzona dla ludzi, którzy w przeciwnym razie nie wiedzieliby, co począć z życiem.

— Zapewne, zapewne — rzekła kaczka, która, będąc zgodnego usposobienia, nigdy się z nikim nie sprzeczała. — Każdy ma przecież inny gust. Sądzę jednak, że zamierzasz tu osiąść.

— Ach! przenigdy! — krzyknęła. Rakietą. — Bawię tu tylko chwilowo, jako gość — bardzo znakomity gość. Nudna to jednak miejscowość. Ani tu towarzystwa, ani samotności właściwej mieć nie można. Prawdziwie małomiejska atmosfera. Prawdopodobnie wrócę niedługo na dwór królewski, bo wiem, że mam odegrać w świecie wielką rolę.

— I ja nosiłam się niegdyś z myślą poświęcenia się karierze publicznej — zauważyła kaczka. — Tyle rzeczy wymaga rychłej reformy. Brałam nawet raz udział w zgromadzeniu publicznym, i wtedy uchwaliliśmy potępić wszystko, czego nie lubimy. Tylko że nasze rezolucje nie odniosły jakoś skutku. Obecnie przenoszę życie rodzinne nad sprawy publiczne i żyję dla swej rodziny.

— Ja jestem stworzona do życia publicznego — rzekła Rakietą — tak samo jak wszyscy moi krewni, nawet najdalsi. Ilekroć też występujemy publicznie, wywołujemy ogólny zachwyt. Ja dotąd nie występowałam, ale gdy się ukażę, sukces będzie wspaniały. Co do życia rodzinnego, to bardzo szybko utracę skutkiem niego młodość, a także wyższe aspiracje.

— Ach tak! Wyższe aspiracje! Jakże one są pojętne! — zawołała kaczka. — Ale to mi przypomina, że jestem bardzo głodna. — I odpłynęła w kierunku stawu, krzyząc: kwa! kwa! kwa!

— Wróć no jeszcze! wróć jeszcze! — wrzasnęła za nią Rakietą — mogę ci opowiedzieć mnóstwo zajmujących rzeczy. — Kaczka jednak nie zwracała uwagi na jej wołanie.

— Jestem zadowolona, że odeszła — mruknęła Rakietą. — Typowa drobnomieszczańska umysłowość — mruknęła po chwili i, zagłębiwszy się jeszcze bardziej w kałuży, poczęła właśnie rozmyślać nad osamotnieniem geniusza, gdy nagle nadbiegło dwóch chłopców w białych kubrakach niosąc mały kociołek i wiązaniczkę chrustu.

— Zapewne deputacja do mnie — rzekła Rakietą usiłując przybrać minę pełną godności.

— Hallo! — zawołał jeden z chłopców — spójrz no na ten stary kij! Nie wiem doprawdy, skąd się tu

wziął! — I ostrożnie, aby się jak najmniej zabłocić, wyciągnął raketę z kałuży.

— Stary kij! — powtórzyła Rakietka — niemożliwe! Chciał zapewne powiedzieć: złoty kij. Złoty kij, ta wcale pochlebne dla mnie. Tak, bez wątpienia wziął mnie za jedną z dam dworskich.

— Dorzućmy ten kij do naszego ogniska, to się prędzej woda zagotuje — krzyknął chłopczyk.

Zrobili więc ognisko z chrustu, na sam wierzch położyli Rakietę i podpalili.

— Wspaniale! — krzyknęła Rakietka — chcą mnie widocznie wystrzelić w biały dzień, aby mnie wszyscy widzieli.

— Prześpijmy się teraz — rzekł jeden chłopiec do drugiego — zanim się zbudzimy, woda będzie już kipieć.

Położyli się więc na trawie i przymknęli oczy.

Rakietka była tak wilgotna, że przez długą chwilę nie mogła się zająć. Ostatecznie jednak objął ją płomień.

— Teraz wystrzelę! — krzyknęła prostując się. — Wiem, że wylecę ponad gwiazdy, ponad księżyc, ponad słońce. Zaiste, wylecę tak wysoko, że...

„Frr! frr! frr!” wystrzeliła w górę.

— Rozkosznie! — zawołała. — Chciałabym tak lecieć w nieskończoność. Jakąż wywołam sensację!

Ale nikt jej nie widział.

Po chwili opanowało ją uczucie dziwnego niepokoju.

— Teraz nastąpi wybuch — krzyknęła. — Cały świat podpalę i takiego narobię huku, że przez cały rok nie będą mówić o niczym innym, tylko o mnie. — I w istocie nastąpiła eksplozja. „Puf! puf! puf!” — trzasnął proch.

Nikt jednak tego nie słyszał, bo nawet dwaj chłopcy spali twardym snem. I jedyną rzeczą, która została z Rakiety był drążek, a ten upadł na grzbiet gęsi, przechadzającej się właśnie nad kałużą.

— Wielkie nieba! — krzyknęła gęś. — Drągi spadają teraz z chmur zamiast deszczu. — I oburzona zsunęła się na wodę.

— Wiedziałam, że wywołam ogromną sensację — ostatnim tchem szepnęła Rakieta gasnąc.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)